



JÓZEF LENC

Kanonier Józef Lenc, ur. 19 marca 1924 r. w kolonii Jadwigin, gm. Czaruków, pow. łucki, woj. wołyńskie.

Do 12 kwietnia 1940 r. chodziłem do byłego gimnazjum państwowego im. Tadeusza Kościuszki w Łucku, przemianowanego następnie na gimnazjum polskie. Mieszkąłem u siostry, której mąż, por. rez. Edward Herba, został aresztowany w pierwszych dniach po wkroczeniu Armii Czerwonej.

13 kwietnia o 3.00 w nocy wraz ze starszym bratem, siostrą, siostrzeńcem i innymi dostaliśmy nakaz władz NKWD ładowania się na samochody, po uprzednio przeprowadzonej rewizji. Warunki pakowania były następujące: czas ograniczony przez władze sowieckie do 30 min.

Przy pakowaniu byli obecni milicjanci (policja sowiecka), którzy zezwalali na branie następujących rzeczy: pościel, parę zmian bielizny, ubranie ograniczone do dwóch zmian, naczynia, jedna para obuwia, żywność przewidziana na siedem dni i inne drobiazgi, jak rękawiczki, szalik, skarpetki itd. Ogólny ciężar bagażu wynosić miał od czterech do sześciu pudów na osobę. Następnie byliśmy wiezieni pod eskortą do stacji Łuck, tam [zostaliśmy] władowani do wagonów towarowych. W wagonach zastaliśmy brud i zapach bydlęcego gnoju. Okna wagonów były pozabijane deskami, drzwi zaryglowane, przy każdym postoju stał [w nich] wartownik specjalnych oddziałów eskortujących.

Warunki podróży były beznadziejne, okrutny ścisk w wagonach, gdyż przeciętnie było po 40 osób z bagażem. Po kilku dniach podróży dało się odczuć brak pomocy sanitarnej. Ludzie jadący chorowali, przeważnie na żołądki. W transporcie było kilkadziesiąt wypadków śmierci, zauważyłem to przeważnie u dzieci i osób w podeszłym wieku. W czasie postojów przynosiła żywność okoliczna ludność, którą odganiano, a więcej upartą chwymano, następnie te osoby

doznały silnych uderzeń kolb karabinowych wartownika stojącego przy wagonie. Na tym nie koniec! Mimo obrzydliwych słów o Polsce i danej osobie oraz bicia, wtrącano [tych ludzi] do wagonów, gdzie kończyła się wolność osobista. Takie wypadki miały miejsce na terenach Polski okupowanej przez Rosjan.

I tak w ciągłym głodzie, bo tylko o dwóch wiadrach wody gorącej (*kipiatok*) i wiadrze lub dwóch zupy dziennie, jechaliśmy przez 15 dni do miasta Pawłodar. Następnego dnia rano [po przyjeździe] bocznica toru kolejowego stacji Pawłodar wrzała od okrzyków i brutalnego obchodzenia się z nami władz policyjnych. Zostaliśmy wyładowani z wagonów, skąd samochodami udaliśmy się na prom. Promem przewożono nas na drugą stronę rzeki Irtysz. 1 i 2 maja spędziliśmy na łące przy wyżej wymienionej rzece. Chłód, wilgoć i głód dokuczały w straszliwy sposób wszystkim zgromadzonym. Tam również pochowaliśmy starszą kobietę. Wreszcie 2 maja wieczorem przybyły samochody i wielbłądy. Pierwsza część [nas] załadowała się na samochody, druga zaś na podwozy zaprzężone w dwugarbne lub jednogarbne wielbłądy.

Miejsce, w którym mieliśmy pracować, było w tak opłakanym stanie, że trudno sobie wyobrazić. Stały trzy baraki z dykty, niekompletne, i nic więcej. Do nich spędzono 1,2 tys. zesańców. Byli to przeważnie uczniowie i uczennice szkół średnich, urzędnicy i zamożniejsi gospodarze z Polski. Ci zaś, dla których nie było miejsca, spali pod gołym niebem albo też robiąc szałas z własnych prześcieradeł i ubieranych patyków. Miejscowość była bardzo uboga w faunę i florę, bo tylko gdzieś rosnęły kępki trawy stepowej. Była to w projekcie rozbudowy stacja elektryczna (LE) oddalona od najbliższego miasteczka Majkain-Zołoto o 25 [?] km, od Pawłodaru o 135 km. Na miejscu byliśmy drogą kołową 3 maja.

Dnia następnego rano wezwano mnie i innych do pracy. Między innymi były też kobiety z dziećmi od lat 14. Wydano każdemu z nas po łopacie, kilofie i ciężki, wprost trudny do podniesienia, łom żelazny. Do każdej z grup wyznaczono po jednym lub dwóch tzw. dziesiętników wybranych spośród Kirgizów i Rosjan, którzy mieli za zadanie wyznaczać miejsca pracy, zapisywać liczbę przepracowanych godzin, kontrolować obecność każdego z osobna co dzień oraz zapisywać prace wykonane przez daną brygadę.

Pierwszy miesiąc ja i koledzy, przeważnie uczniowie szkół średnich wraz z grupą kobiet, pracowaliśmy w kamieniołomach w bardzo złych warunkach. Mianowicie kopalnia nie była umocniona, narzędzia pracy [były] nieodpowiednie, normy duże i [panował] straszliwy upał

z wiatrem, dochodzący do 50 stopni. Na jedną osobę dziennie wypadało przez osiem godzin pracy wydobyć pięć metrów sześciennych kamienia. Tam właśnie kilka osób doznało ciężkich obrażeń cielesnych z powodu kilkakrotnego zawalenia się kamiennej ściany. Przeciętny miesięczny zarobek robotnika wynosił 90 rubli, za co w niełatwy sposób można było kupić jedną parę butów z cholewami.

Po miesiącu [zostałem wraz z] całą grupą (brygadą) przeniesiony na roboty ziemne. Pewnego dnia przy kopaniu fundamentu pod łaźnię zostałem z moim kolegą Florianem Pacholskim posądzony przez brygadiera Pawła Mielnika (Ukraińca) o rzekomy sabotaż i wysłany na dwa tygodnie przymusowych prac betonowych w cegielni (*kirzawod*), pięć kilometrów od miejsca zamieszkania. Po odbyciu kary zostałem przydzielony wraz z kolegą do *gruzczyków*, którzy ładowali na wozy ciężarowe materiały budowlane, jak: belki, cement, kamień, cegły, żelazo, piasek, wapno itp. W charakterze *gruzczyka* pracowałem do chwili podpisania układu między Polską a Związkiem Sowieckim.

Lekarza miejscowego ani szpitala nie mieliśmy. Szpital odległy był o 25 km. Wyżywienie szpitalne, idąc w jednej parze wraz z obsługą, było pod psem. Wiadomości posiadane przez lekarzy i akuszerki [dowodziły niedużej wiedzy w] zakresie medycyny. Widać to z tego, że przypadki śmierci [powodowały] duże straty wśród zesłańców – przeszło sto krzyży wyrosło na głuchej przestrzeni porośniętej trawą. Niestety to spłynęło na dzieci do lat 12 i ludzi starszych.

Każdy pracownik posiadał książkę prowiantową, na którą mógł pobierać chleb i produkty przywożone do miejscowego sklepu. Dziennie na jednego robotnika przypadało po kilogramie chleba, natomiast miesięcznie każdy z nas otrzymywał kilogram cukru, trzy kilogramy kasz (ryżu, krup jęczmiennych i pęczaku) oraz drobiazgi, jak papierosy, cukierki, suchary i przybory do szycia.

Przez cały czas, do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, otrzymałem trzy listy od rodziny, która pozostała na roli w osadzie Nieświcz, pow. Łuck. W ogóle korespondencja z kraju przedstawiała się smutnie, gdyż większość listów była likwidowana przez cenzurę sowiecką. [Zarówno] władze policyjne NKWD, jak i ludność miejscowa, tj. Kazachowie i Rosjanie, były nastrojone w stosunku do Polaków bardzo źle, wskutek czego odbyły się masowe aresztowania wśród młodzieży polskiej. Między innymi Józef Ornowski, uczeń gimnazjum

handlowego w Łucku, pozostawił matkę i dwie siostry (12 i 14 lat). Chajowa, Skrabińska i Tkaczowa – żony posterunkowych – pozostawiły troje dzieci, najstarsze z nich liczyło dziesięć lat, zaopiekowali się nimi Polacy. Stefan Dowgierd, uczeń Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, pozostawił siostrę i matkę. Wic, sierżant Wojska Polskiego, pozostawił chorą żonę i syna (12 lat). Władysława Mazurkowa, żona podporucznika rezerwy pozostałego w niewoli niemieckiej. Ogólna liczba aresztowanych przekraczała 40 osób. Ich nazwisk sobie nie przypominam, jak również nie znam przyczyn ich aresztowania.

Badania przeprowadzane przez NKWD odbywały się przeważnie w nocy o godz. 23.00 lub 24.00. Badany, wchodząc do pokoju, w którym siedziało kilku NKWD-zistów wraz z naczelnikiem, w pierwszych chwilach pytany był o narodowość, zawód i co porabiał ostatnio w Polsce. Następnie przechodzono do tonu ostrzejszego, do wiadomości posiadanych przez pytanego z kraju i podejrzanych. Jeśli pytany nie odpowiadał na korzyść Rosji Sowieckiej, stosowano odpowiednie represje, jak: przykładanie pistoletu do głowy, bicie pięścią w stół i obelżywe słowa skierowane w kierunku państwa polskiego, Polaków oraz wiary katolickiej, Ojca Świętego i pana Boga. W chwili wejścia w życie umowy polsk[o-sowieck]iej stosunki i stan materialny nie poprawiły się, a odwrotnie – pogorszyły. Będąc maszynistą w fabryce złota na Najzatazie [?], przez okres zimy nie dostałem wraz z bratem, siostrą i innymi rodzinami dzielącymi te losy kilograma chleba, w zamian tego otrzymywałem 15 kg pszenicy, którą gotowaliśmy jak kaszę.

I tak spędziłem wraz z niecałą rodziną i innymi zsyłkę w ZSRR. Wreszcie nadeszła chwila, której czekaliśmy z utęsknieniem, tj. wyjazd do szeregów polskiej armii. 17 marca 1942 r. wstąpiłem do Wojska Polskiego w Ługowoje, pozostawiając siostrę i siostrzeńca na łasce ludzkiej i Boga.